

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY.

Nr. 10.

Katowice, dnia 6 marca

1926.

W imię † Ojca i † Syna i † Ducha świętego Amen.

Na większą cześć i chwałę Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy świętej jedynemu a nam na zbawienny dusz naszych pożytek, czyta Kościół Boży na

niedzielę trzecią Postu (Głuchą)

EWANGELJĘ

u św. Łukasza w rozdziale XI., wiersz 14—28.

Onego czasu wyrzucił Jezus czarta, a on był niemy. A gdy szatana wypędził, niemy przemówił; rzesze zaś zdumiewały się. Niektórzy jednak z nich rzekli: Mocą Belzebuba, księcia czartowskiego, wypędza szatanów! Inni zaś, by Go podchwycić, żądali od niego znaku z nieba.

Ale On, znając ich myśli, rzekł do nich: Każde królestwo, szarpane w sobie niezgodą, pustoszeje, a dom na dom się zwali. Jeśli przeto i szatan jest z sobą w niezgodzie, jakże się osto królestwo jego? Twierdzicie bowiem, iż mocą Beelzebuba wypędzam czarty! A jeśli Ja mocą Beelzebuba wypędzam czarty, — to czyż mocą synowie wasi wypędzają? Dla tego to oni będą sędziami waszymi. Ale jeśli palcem Bożym czarty wypędzam, zaiste przyszło już do was królestwo Boże. Gdy mocarz uzbrojony strzeże dworu, majętność jego bezpieczna; ale jeśli mocniejszy nadeń się zjawi i pokona go, to zabierze całą broń jego, w której pokładał swą nadzieję, a łupy jego rozda. Kto nie jest ze Mną, przeciwko Mnie jest; a kto nie zbiera ze Mną — rozprasza.

Gdy duch nieczysty wyjdzie z człowieka, błąka się po miejscach bezwodnych, szukając odpoczynku; a nie znajdując, mówi: Powrócę do domu swego, skąd wyszedłem. Wróciwszy zaś, znajduje go umicionym i ozdobionym. Wtedy odchodzi i przyprowadza z sobą siedmiu innych duchów, gorszych od siebie, i wchodzi tam na mieszkanie. I staje się ostateczna dola owego człowieka gorszą od poprzedniej.

A podczas gdy tych słów domawiał, pewna niewiasta z ludu podniosła głos, mówiąc do Niego: Błogosławione lono, które Cię nosiło i pierś, któreś ssal! On zaś odrzekł: Istotnie! — ale i ci też są błogosławieni, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą go.

—o—

Post święty szkołą dla nas:

Introit trzeciel Niedzieli Postu.

(Oculi me — Oczy moje.)

Co człek widzi, to rad naśladuje — stara to prawda. Dzieci n. p. gdy widzą trzeźwość w ojcach swoich, upodobać sobie tę cnotę; gdy widzą szczodrobliwość i uczynność, będą i one szczodrobliwie i uczynne. Uczeń przygląda się majstrowi, żeby umiał tak robotę zrobić, jak majster ją robi. Pod-

obie jest z nami chrześcijanami. Myśmy uczniami. Mistrzem naszym jest Pan. Na Niego spoglądać nam trzeba. Do tego spoglądania pobudza nas Niedziela trzecia Postu. Introit tej Niedzieli taki jest:

Oczy moje spoglądają na Ciebie, Panie Boże,
Bo za Twą pomocą z sideł się wyplątałam.
Udziel miłościwie Twego miłosierdzia;
Bomci jest bezradny i strapiiony bardzo.

Słowa te wyjęte są znowu z psalmu 24, a mianowicie z wiersza 15 i 16. Kochanowski przełożył je rymami tak:

W Nim (tj. w Bogu) tedy oczy, w Nim myśli mam
A On wyzwoli z pęta nogi moje. [swoje,
Panie, Ty mię racz wziąć do swej obrony,
Bom od wszystkiego świata opuszczony.

Co Introit krótko wypowiedział, to się ciągnie przez cały dalszy przebieg Mszy świętej. I tak lekcja nas wzywa, zaraz na początku, do naśladowania Pana. Ewangelja nam pokazuje, w czym Go naśladować mamy: Czarta Pan Jezus wyrzucił. A więc i my czarta wyrzucić mamy...

Czart czyni się naszym panem, gdy się zaplątamy w grzech śmiertelny. O dwóch takowych grzechach mówi nam dzisiejsza lekcja: o hulaszczosci i o drapieżności. Są to owe dwa grzechy dawnych pogan i tych dzisiejszych chrześcijan, którzy po pogańsku żyją. Przed nimi nas Paweł św. przestrzega. Z nich wyzwolić się mamy. Te szynki sławne, te winiarnie, te karczmy rozmaite, — teraz je z francuska „oberżami“ a z angielska „barami“ zowią (może iż się tam obeżrą a potem za bary biorą), w których zwłaszcza w dni święte, w dni Bogu poświęcone, od chrześcijan aż się roi, — to wszystko jest objawem hulaszczosci i tych wszystkich innych grzechów, co z hulaszczoscią są we związku, jak rozpasanie bezwstydu, dzikość i t. p. Zaś drugiego grzechu pogan, tej drapieżności, dowodzi ta gonitwa za pieniędzmi, ten wyzysk różnoraki, ta nieserdeczność, te kradzieże rozmaite, to taksowanie bliźniego według pieniędzy a nie według cnoty, słowem ta miłość mamony szalona. Tych grzechów koniecznie pozbyć się trzeba, jeśli się chce być zbawionym. Przeto spojrzeć trzeba na Mistrza, na Pana Jezusa.

Mistrz nasz, Pan Jezus, nie hulał, nie zbytował, grosza nie marnował, nikomu go też nie wydierał, nie wyludzał, ani też według majątku nikogo nie oceniał.

Bywał On wprawdzie na ucztach, na biesiadach. Na ucztę to przecież było, iż Mu Magdalena łzami swymi nogi obmyła; do Zacheja nawet sam się zaprosił na gościnę, gdy tenże, będąc wzrostu małego, na drzewo wlaź przydrożne dla ujrzenia Pana. Ale o hulaszczosci ani mowy niema u Jezusa. Gdyby Pan Jezus dziś chodził po świecie, na isto nie wstąpiłby do szynku popić sobie. Przy studni — o, tam sobie usiadł, tam się napił i przy tej sposobności nawet zbłąkaną duszę na prawą drogę przywiódł, ową Samarytanę! Tak i my róbmy! Nawracajmy jeden drugiego!

I bałwochwalstwa z pieniędzmi Pan Jezus nie uprawiał. Wiemy przecież, że pieniążnikom stoły przy Świątyni powywracał, ba i powroza na nich wzięł; wiemy, że kazał czynić sobie przyjaciół z mamony, tym, którzy mieli pieniąż, a bogaczom powiedział, że trudno im będzie dostać się do Nieba, gdyż troski o bogactwo zachwaszczają im duszę i zaduszają w niej dobre zarodki. I też nigdy według pieniędzy On ludzi nie oceniał. Biedacy, nieboracy miłszymi Mu byli, niż ludzie bogaci.

Oto przykład nasz. Rzeknijmy sobie za dzisiejszym Introitem: „Oczy moje spoglądają na Ciebie, Panie Jezu!“ Tyś nie był hulakiem, i ja nie chcę być hulakiem. Tyś nie był wyzyskiwaczem, i ja nim być nie chcę. Chcę być Twoim naśladowcą. Chcę się uczyć od Ciebie! Ale przedtem, Panie drogi, wyrzuc czarta ze mnie, bo bez Ciebie jestem bezwładny i bezradny. Za Twą pomocą tylko się wyplątam z sidła jego.

Katowianin.

MASZYNISTA.

Był to człowiek niemłody, miał przeszło sześćdziesiąt lat... Niski, dość gruby, z szerokimi, wystającymi ramionami, zdawał się być do obecnej chwili uosobnieniem siły.

Oczy, pozbawione rzęs, od chłostania przez wiatr i deszcz i palenia przez słońce, migwały ciągle i niekiedy mimowoli zachodziły łzami. Dwie ręce wisiały z obydwu stron ciała, długie, węzłowate jak gdyby dwa narzędzia.

Nazywał się Marceli Arras.

— Tak... tak... trzydzieści lat na maszynie! — powtarzał, kiwając głową.

Zabrałem głos.

— Przecież przez tak długi czas musiały się panu zdarzać różne wypadki... nadzwyczajne przygody coś niezwykłego. Opowiedz pan.

Stary maszynista zamyślił się.

— Ba... było i niejedno. Chociażby i to.

Słuchałem z ciekawością.

— Jestto przygoda — mówił — o której nie bardzo nawet lubię przypominać, bo jest trochę smutną, no, ale jeżeli pan chcesz...

Ma się rozumieć, że chciałem, prosiłem starego o podzielenie się z mną wspomnieniami.

„A więc — zaczął — nie wiem najpierw, czy pan masz pojęcie o tem, co to jest maszyna... jak się to mówi w raportach — lokomotywa. Jestto dzika bestja z żelaza, pękata, brzuchata, najeżona kłapami i tłokami, która leci na przód, jak szalona, aż ziemia drży — podobna trochę do ogromnego słonia, trochę do smoka... Widok jej niejednego przeraża. Tymczasem nie jest ona taka zła, można ją prowadzić jednym palcem, jak pannę na bal... zresztą są i wyjątki, tak samo, jak i między płcią piękną, większość to niezłe babiny, ale są i złościce.

Pomimo wszystko, złą czy dobrą, w naszym rzemiośle, człowiek lubi swoją maszynę, przyzwyczajają się do niej. Kiedy już jest za bardzo sfatygowana, zaczyna klekotać i trzeba ją odstawić do remizy na kurację, prawdziwe zmartwienie... Nowa jest bardziej elegancka, ładniejsza, rusza się może żwawiej, ale zawsze to nie to, co stara. Trzeba dość czasu, ażeby się znowu żyć we troje, ja, ona i palacz... Wszystko trzeba zaczynać na nowo.

W czasie, kiedy miała miejsce moja historia, prowadziłem maszynę dość kapryśną, jeszcze młodą, trudną do kierowania. Służyłem na kolej Orleańskiej już od 12 lat, od roku prowadziłem nocą pociąg towarowy z Paryża do Nantes... Wszystkiego czterysta dwadzieścia siedm kilometrów. Mi-

łem palacza niezłego chłopca a pracowitego. Był wysoki i zdrów, jak dąb... Niedawno temu ożenił się z ładną dziewczyną, panną z magazynu, i był o nią bardzo zazdrosny. Przezywano go z powodu rudych włosów „Marchwią“.

Tej nocy, było to w końcu listopada, zimno zaczynało nas dobrze przejmować, drżeliśmy pod grubymi flanelowymi kaftanami i pledami.

Wiatr, uderzający prosto w oczy, wygrywał nam w uszach różne dziwne rzeczy, dlatego też staraliśmy się obydwaj mówić jak najmniej, ażeby nie zjadać za dużo świeżego powietrza... Tymczasem, po obydwu stronach szyn nasyp spadał gdzieś w dół — czarny jak atrament... Drzewa, domki, zarośla biegly w przeciwną stronę, jak zwarjowane znikaly w przestrzeni.

Posuwaliśmy się po szynach dość szybko, nie czuć było prawie ruchu. Tylko od czasu do czasu następowało wstrząśnienie, które omal nie zważyło człowieka z nóg. To maszyna wierzgała, wyrzucała łapami powietrze, znudzona tą nieskończoną gonitwą pośród ciemności, tak czarnych, jak pudełko szuwaksu.

Mieliśmy już Tours z sobą i zbliżaliśmy się do Savonnières. Naraz palacz rzekł do mnie:

— Wiesz, nie jestem z ciebie kontent...

Spojrzałem na niego zdziwiony. Miał dziwnie błyszczące oczy, jakieś aż złote, podobny był do kota, co chce w ciemności skoczyć na mysz. Z początku nie zrozumiałem, o co mu idzie.

— Czego chcesz, Marchew? — zapytałem.

Stanął tuż przy mnie, patrzył mi wyzywająco w oczy.

Nie rozumiałem, co go ugryzło.

— Nie waruj — rzekłem jeszcze raz — pójnij lepiej ogniska.

W tej chwili dostałem potężne uderzenie pięścią w kark. Gdybym był trochę słabszy, koziolkowałbym się już na plancie, koło maszyny, tak, wytrzymałem jakoś. Swoją drogą krew uderzyła mi do głowy. Skoczyłem do niego i nauczyć go chciałem moresu, ale na szczęście przypomniałem sobie, że jesteśmy na maszynie. W samym rzemiośle nic bez zimnej krwi.

— Posłuchaj, Marchew — rzekłem do niego głosem, który drżał z zimna i ze złości — twoje psie szczęście, że jesteśmy w drodze. Inaczej djabli by cię już w tej chwili wzięli. Ale radzę ci, nie zaczynaj, jeśli nie chcesz, żebym ci splaszczyl zupełnie twój szeroki nos!

Jeszcze nie skończyłem, kiedy on rzucił się na mnie. Oczy złe, dzikie oczy, wyłaziły mu prawie z głowy. Ryczał jak wściekły, w zawody z piekielnym hukiem maszyny i poświstami wiatru.

Walka się zaczęła.

Maszyna tymczasem szła sobie sama. Czulem, że doszła do najwyższej szybkości, zaczęła już nawet ją przechodzić. Ogień trzeszczał w palenisku. Pasując się z palaczem, widziałem przebiegające koło nas budynki stacyjne. W półświatle przeczytałem tylko nazwisko i dojrzałem godzinę na zegarze. Pierwsza pięćdziesiąt i pięć. Był to przystanek, na którym się nie zatrzymaliśmy; za pięć minut będzie stacja. Znowu pograżyliśmy się w ciemności.

Przeciwnik, trzymając mnie w pół ciała, chciał mi podstawić nogę. Był to prosty sposób wyrzucenia z maszyny. Ja trzymałem się jak mogłem najmocniej, za barjerę, a drugą ręką starałem się ubezwładnić jego usiłowania, nie chcąc mu robić nic złego. Wołam nan:

— Dajże spokój, warjacie, czego chcesz?...

Ale on nie słuchał; przeciwnie, ponawiał swe wysiłki, ogarnięty jakąś wściekłością, szalejąc i pieniac się. Już od dwóch minut popychał mnie w stronę kąta — gdzie znajdowały się różne przyrządy. Zaczynałem go rozumieć: chciał pochwycić pręt żelazny do poprawienia ognia lub szufłę do węgla i skończyć ze mną.

Bronilem się, jak mogłem.

Jak pan widzisz, nie jestem ja ułomek, ale i on miał mięśnie z żelaza. Przytem był znacznie odemnie młodszy, a siły jego podwajała jakaś niepojęta wściekłość...

Ślizgaliśmy się tedy po wąskiej śliskiej platformie, spleceni wzajemnym uściskiem, narażeni w każdej chwili na spalenie żywcem od buchającego obok nas ogniska maszyny. Czulem już, że słabnę.

W tej chwili zamajaczył mi na prawo jakiś blask czerwony... Uczulem, jak mi ciarki przeszły przez plecy. Tarcza alarmowa... Czy pan to rozumie? Droga nie była wolna... należało się zatrzymać.

A tymczasem ten trzymał mnie, jak skutego, w swych żelaznych kleszczach; czulem na twarzy jego gorący oddech. A lokomotywa leciała naprzód jak szalona.

W jednej sekundzie wyobraziłem sobie, co nastąpi...

Pociąg wskazuje na tamten drugi, z wagonów kasza, podróżni w kawałkach, maszyna do góry nogami, dokoła oderwane ręce i nogi, a pod tem wszystkim ja i Marchew, zgnieceni jak pluskwy.

Nigdy.

Przedewszystkiem trzeba ratować pociąg. Zrobiłem ostatni wysiłek. Pochyliłem głowę ku ziemi, jak byk i uderzyłem go całą siłą w brzuch. Czulem, jak puszczał mnie palcami, w których aż chrząstnęły kości, poleciał w górę, pchnięty potężnym uderzeniem mojej głowy, działającej jak klin i znalazł się za barjerą maszyny. Nie słyszałem nawet, jak upadł na nasyp.

W tej chwili rzuciłem się do maszyny i dałem kontrparę. Wagony, uderzając o siebie z łoskotem, zatrzymały się jak wryte.

Daly się słyszeć głosy przerażenia obudzonych ze snu pasażerów. Był już najwyższy czas: o dziesięć metrów przed nami stał pośród szyn pociąg, który zszedł z szyn przed godziną.

Będzie temu siedmnaście lat. Ale jak sobie to przypominę, robi mi się od razu gorąco i zimno za skórą.

Stary maszynista zamilkł.

— A tamten? — zapytałem po chwili.

— Marchew?... Ani zipnął. Kolumna pacierzowa złamana. Doktorzy powiedzieli, że zwarjował przez jakąś gorączkę... bo ja wiem. Stawałem przed sądem; ma się rozumieć; uniewinnili mnie...

FRANKU.

— No, jeszcze po jednym kieliszku. Dobrze?

— A no, niech będzie do pary.

Pan Franciszek sięgnął ręką, by ująć kieliszek ale cofnął się nagle i rzekł:

— Nie, panie, dosyć. Nie będę pił więcej...

— Dlaczego? — zapytałem zdziwiony.

— Spójrz pan tam, w róg pokoju. Prawda, że pan nic nie widzi? a ja widzę: widzę staruszkę,

która patrzy na mnie z wyrzutem i grożąc mi, szepce cicho: „Franku, pamiętaj, Franku!”

— A to co znów za opiekunka tajemnicza? — badałem ze śmiechem.

— Nie śmieję się pan — rzekł poważnie. — To moja nieboszczka... teściowa.

— Ach tak? No, nie dziwię się teraz wcale. Ale musiałeś jej się pan bać na żarty, kiedy i po śmierci tak pana przestrasza.

— Nie żartuj pan, bo mi to przykrość sprawia — powtórzył pan Franciszek.

Usiedliśmy na uboczu sali restauracyjnej i pan Franciszek po chwili milczenia opowiedział mi w krótkich słowach historję swego życia.

— Widzi pan, byłem w młodości straszny pijakiem. Zarabiałem sporo, dzięki swym zdolnościom, ale przepiłem wszystko i co wieczór odprawadzał mnie który z towarzyszków nieprzytomnego — bez grosza. Wierz mi pan, że upadłem już bardzo nisko. I gdyby nie pewien wypadek, byłbym dziś, kto wie, może w szpitalu warjatów, może w więzieniu... Jednem słowem zakochałem się w ubogiej pannice, nauczycielce, która utrzymywała starą matkę z ciężkiej swej pracy. Nie wiem, panie, czy ludzie normalni umieją się tak kochać: była to prawdziwie pijacka, natarczywa, szalona miłość. Zaczepiłem moją dziewczeczkę raz na ulicy; rozplakała się. Poszedłem do matki, słuchać nawet nie chciała:

Ja — powiada — mam oddać panu na pastwę jedyną pociechę moją, biedną moją sierotę?

Przez trzy miesiące nie piłem wcale. Myślałem że to ją przekona. Nie śmiałem iść do jej mieszkania, alem błakał się całymi nocami przed ich domem. I, proszę pana, raz staruszka sama wezwała mnie do siebie i zaczęła mówić o mojej miłości.

— Pani, jeśli pani chce — prosiłem — przysięgnę pani, że pić nie będę nigdy.

— Nie, panie, niech pan nie przysięga, po co pan ma łamać przysięgę? To grzech. Ale postawię panu jeden warunek: ilekroć nazwę pana po imieniu, musi pan odstawić kieliszek.

Rozumie się, że przystałem na warunek. W pół roku później byłem już żonaty. Tak, panie, moja teściowa miała słusność. Przysięga nie byłaby pomogła. Ja musiałem... musiałem czasem się upić. Ale gdym przebrał miarę, ona stawała przedemną, kładła palec na ustach i szeptała cicho: „Franku, pamiętaj, Franku!”. I znów przez tydzień, czasem miesiąc, nie brałem wódki do ust. Tak, panie; umiała ona mnie znaleźć w każdym szynku, w każdej knajpie, wchodziła cicho w koronie swych siwych włosów, zawsze łagodna, cicha i mówiła: „Franku!”. I pokornie szedłem za nią... Dziś, jak pan wie, jestem człowiekiem zamożnym, żonę kocham serdecznie, dzieci wykształciłem, a choć od śmierci mojej opiekunki minęło lat dziewięć, ilekroć chcę wypić więcej, niż dwa, trzy kieliszki, zawsze ukazuje mi się jej postać wyraźnie i żywo i szepce:

— Franku, pamiętaj, Franku!

— Widzi pan — zakończył swoje zwierzenie pan Franciszek — można pijaka odzwyczaić od nalogu, ale na to potrzeba wiele spokoju i poświęcenia, wiele rozumu i równowagi: tu ani groźby ani prośby nie pomóżd nie mogą, tylko ciągłe, bezustanne i łagodne przypomnianie. Bo wódka odbiera przedewszystkiem wolę, więc trzeba człowieka słabego umiejętnie prowadzić, działać stopniowo, bo panie, jak mówi przysłowie łacińskie: „kropla żłobi skałę nie siłą, ale bezustannem padaniem”. Bodajby takich kobiet jak moja teściowa, wiele, bardzo wiele, było.



Dla rozrywki.



Zagadki nowe.

Szarada.

ułożył Franciszek Sosna.

Jeden naród dość nie blisko,
Jakieś dziwne ma nazwisko;
Zeszli się jakby na „piknik“.
Trzy zaimki i wykrzyknik.

Przestawianka.

Dziki, łania, staw, ser, wejse.

Z powyższych słów pojedyncze litery poprzestawiać, i ułożyć z nich imię i nazwisko wielkiego działacza na niwie narodowo-polskiej.

Uzupełnianka.

Antoni Kape.

Uzupełnić poniżej podane kreski głoskami, aby tworzyły 18 wyrazów. Środkowe litery czytane, dają imię i nazwisko poety polskiego.

I—o. S—n. O—a. A—o. R—j. Ł—a. R—o. H—n.
O—a. S—i. T—n. U—z. C—a. T—r. E—a. P—y.
O—o. B—l.

Łamigłówka.

(ułożył Jotbe).

Z następujących 38 głosek a mianowicie: z 8a, 1b, 1c, 2e, 2h, 3i, 3j, 1k, 2l, 1m, 4n, 4o, 1s, 2w, 1y, 1z, 12, ułożyć 12 wyrazów, których środkowe litery dają imię i nazwisko malarza i literata polskiego, który niedawno zginął tragiczną śmiercią.

Znaczenie wyrazów: 1 spółgłoska, 2 imię męskie, 3 słynny powieściopisarz i krytyk francuski, 4 inaczej kłamię, 5 samogłoska, 6 oznaka smutku, 7 ptak drapieżny, 8 rzeka, wpada do morza Czarnego, 9 imię żeńskie, 10 owad, 11 część ciała, 12 kraj w Azji.

ZAGADKA LITERACKA

ul. Jotbe.

Podane wyrazy tak poprzestawiać, by ich pierwsze litery dały nazwisko, trzecie zaś dwie powieści polskiego powieściopisarza.

Czeki — ebro — gatunek — irysy — katorga — reumatyzm — styr — uszko — zakon.

PRZESTAWIANKA.

My, nieśli, tajna, kula, dymkiem, kroczy, pokaż, iżeś, w, mię, pa.

Słowa powyższe podzielić na sylaby i ustawić tak, aby dały bardzo piękne zdanie.

Ułożył Felmuś.

Rozwiązanie zagadek z nr. 8 „Niedzieli“.

Szarada

Kara — Rawa — kawa — rana — Kana — Karawana

Łamigłówka głoskowa.

W — syn — suseł — koper — bis — lan — Pińsk —

Kasia — akt — 4.

Wyspiański.

Kryształówka.

K
S a n
T a t r y
P a r o n i n
m a k o ł a g w a
K n i a z i e w i c z
K a t o l i k P o l s k i
R o p e s P i e r r e
T a r n o w s k i
D u b l a n y
Z o s i a
s k i
i

Przestawianka.

Lepsza w domu groch, kapusta,
Niż na wojnie kura tłusta.

Szarada: Baśń, waśń.

Zadanie rachunkowe.

Pierwszy sprzedał 7 raków za 10 groszy, razem 10 groszy; 3 raki po 30 groszy, razem 90 groszy, a więc 10 i 90 gr. czyli razem 100 gr. czyli 1 zł.

Drugi sprzedał 4 razy po 7 raków za 10 gr. razem 40 gr.; 2 raki po 30 gr. razem 60 groszy, a 40 i 60 znowu mamy 100 groszy.

Ten trzeci sprzedał 7 razy po 7 raków za 10 groszy co uczyni razem 70 gr., 1 raka za 30 groszy co znowu czyni 100 groszy.

Uzupełnianka.

Rój, Lta, Pan, Jad, Muł, Wau, Bóg, Apo,
Las, Raz.

Jan Długosz.

* * *

Dobre rozwłazania 1, 2, 3, 4, 5, 7 zagadki nadesłali: Jan Krenzel z Janowa, Leopold Kawka z Szarleja, Jadwiga Badurzanka (?) z Roźdzenia.

1, 2, 3, 4, 7, Eligjusz Rozmus z Kochłowic, Walenty Szkoda z N. Bytomia, Marja Papiernokówna z Janowa, Jerzy Wasik z Kochłowic, Franciszek Kołodziej z Kochłowic.

1, 2, 7, Janba z Roźdzenia.

2, 4, Jan Kaik z Szarleja, Piotr Tobor z kopalni Brzozowice, Augustyn Szlązok z miejskiego Janowa.

4, 5, Józef Kalus z Jędryska.

4, Wincenty Simka z Kobióra, Franciszek Bednorz z Łędzin, Franciszek Sosna z Czyżowic.

4, 7, Aniela Świłałówna z Brzezinki.

2, 3, 4, 7, Karol Szojda z Wartogłowca.

2, 4, 5, Bogdan Sieroń z Rudy.

1, 2, 3, 7, Fabjan Müller z Królewskiej Huty.

6, Jan Szombara z Królewskiej Huty.

Dobre rozwłazanie wszystkich zagadek z nr. 7. „Niedzieli“ nadesłał: Walenty Szkoda z Nowego Bytomia.

Pan Alfons Fey w Rudzie. Nadesłane zagadki niezrozumiałe.